SZCZERBIEC

DWUTYGODNIK

WYCHODZI 10 i 25 KAŻDEGO MIESIĄCA

Rok VI Nr. 18 Warszawa, 25 czerwca 1931 r. Cena Nr. 40 gr.

PO WYBORACH PŁOCKICH

WYBORY uzupełniające do Sejmu, jakie dnia 21 b. m. odbyły się w okręgu Płock—Płońsk—Sierpc — Rypin, nie zmieniły — jak to zresztą zgóry można było przewidywać — ogólnego stosunku sił między obozem rządowym, a stronnictwami opozycyjnemi. Przyniosły one natomiast nowy mandat Stronnictwu Narodowemu (lista Nr. 4) uzyskany kosztem bloku centrowo-lewicowego (lista Nr. 7).

Ten ostatni fakt jest niewątpliwie znamienny i zasługuje na dokładniejsze omówienie. Już ostatnie wybory parlamentarne, w listopadzie r. 1930, wykazały znaczny wzrost sił Stronnictwa Narodowego, które o 70% powiększyło liczbę posiadanych mandatów, jednocześnie zaś ogromne osłabienie wpływu ugrupowań centrowych i lewicowych, których przedstawicielstwo na terenie sejmowym zredukowane zostało o 52%. Po tych wyborach Klub Narodowy stał się najliczniejszym klubem w Sejmie, drugim z kolei, pod względem wielkości, po klubie Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, a tem samem czołowym, najważniejszym przedstawicielem opozycji parlamentarnej przeciwko panującemu obecnie systemowi. Wynik wyborów uzupełniających płockich stanowisko to Klubu Narodowego umocnił w sposób jeszcze wydatniejszy, zwłaszcza jeżeli zważymy oszustwa wyborcze sanacji na wielką skalę dokonywane na rzecz listy Nr. 1.

Nietyle same cyfry głosów, oddanych na poszczególne listy podczas wyborów, są ciekawe i pouczające, ile ujawniające się we wspomnianych cyfrach tendencje rozwojowe. Pod tym względem w oczy rzuca się stały spadek liczby głosów, oddanych na stronnictwa centrowe i lewicowe. W r. 1928 w okręgu płockim (zdawna zresztą opanowanym przez żywioły radykalne), stronnictwa te zgromadziły około 76,000 głosów, w listopadzie r. 1930 — około 63,000, ostatnio zaś — według danych urzędowych — cyfra powyższa zmniejszyła się już do 49,736 głosów. Natomiast lista narodowa, na którą w r. 1928 padło 19,990 głosów, a w listopadzie r. 1930 była unieważniona, w obecnych wyborach zdołała skupić 31,397 zwolenników.

Stoimy zatem wobec faktu niewątpliwego: opozycja centrowa i lewicowa przeciwko obecnemu systemowi rządów kurczy się, słabnie, traci dawne znaczenie i wpływy, natomiast opozycja prawicowa, narodowa rozrasta się, wpływy swoje utrwala i zwiększa.

Zbyt daleko zaprowadziłoby rozpatrywanie przyczyn powyższego zjawiska; są one różnorodne i bardzo złożone. Pożyteczne będzie natomiast choć w kilku słowach zastanowić się nad wypływającemi stąd wnioskami i wskazaniami na przyszłość.

W okresie pomajowym, zwłaszcza w latach 1928 — 1930, kiedy Sejm, kierowany przez marszałka Ignacego Daszyńskiego, miał oblicze wyraźnie radykalne, nawet wśród narodowców nieraz można się było spotkać z opinją, że po „sanacji" nastąpi okres rządów centrowo-lewicowych, poczem dopiero, w jakiejś dalszej, nieokreślonej przyszłości, miała nadejść pora sposobna dla rządów obozu narodowego.

Obecnie wszakże pogląd taki stracił już wszelkie podstawy. Już dla wszystkich jest dzisiaj widoczne, że — obok „sanacji" — najliczniejszym, najmocniejsze oparcie w opinji kraju posiadającym obozem jest obóz narodowy i że, z natury rzeczy jemu również przypaść musi rola najważniejsza pośród dalszych przemian w układzie politycznym, jakie będą się w Państwie Polskiem dokonywać.

Jasne jest zresztą, że przyszłość zawsze należy do tych ugrupowań, co idą naprzód, których siły ciągle się zwiększają, nie zaś do tych, których szeregi stale przerzedzają się i topnieją.

W tych warunkach na obóz narodowy spadają wielkie obowiązki i olbrzymia odpowiedzialność. Musi on wzmocnić i usprawnić swą organizację, ożywić i pogłębić swą pracę myślową, rozumiejąc, że nikt za niego pracy nie wykona, gdy on będzie czekał „lepszych czasów", ale że przyszły rozwój wypadków w Polsce, nie od kogokolwiek innego, tylko od jego siły i energji przedewszystkiem będzie zależeć. .

SPRAWA AL. DĘBSKIEGO

Umorzenie sprawy b. woj. Dębskiego, oboźnego O. W. P., byłego posła na Sejm, o czem doniosła prasa codzienna, ma głębsze, symboliczne niejako znaczenie.

W nocy z dn. 9 na 10 września 1929 r. wtargnęła do mieszkania p. Al. Dębskiego policja i nie okazując nakazu aresztowania po krótkim oporze wywiozła Go do Brześcia. Niesłychane, niemożliwe w kraju cywilizowanym przejścia, jakich doznali w kazamatach brzeskich więzieniu wraz z b. woj. Dębskim „skazańcy" polityczni są zbyt dobrze znane, ażeby je tutaj szeroko opisywać. Wystarczy przypomnieć ustęp z mowy pos. St. Strońskiego, wygłoszonej w Sejmie dn. 20 stycznia t. r. w dyskusji nad interpelacją brzeską, który dotyczy p. A. Dębskiego:

„P. Aleksander Dębski został w nocy z 11 na 12 października sprowadzony na dół do celi osobnych, równocześnie z innymi posłami. Następnie inni wrócili na górę. Po pół godziny usłyszał kroki z korytarza, zgaszono światło w jego celi, weszło trzech ludzi, z których jeden uderzył go w głowę tak, że upadł na łóżko. Rozebrano go, a na plecy położono mokrą płachtę i zaczęto bić jakąś pałką. Wówczas weszła czwarta osoba, oficer, którego głos poznał p. Dębski, a gdy bijący liczyli uderzenia, on wołał: „Za marszałka, za Gdynię, za Obóz Wielkiej Polski". Doliczono około 30 uderzeń i p. Dębski nakoniec zemdlał".

A więc bito Go za Gdynię, za zjazd Młodych Obozu Wielkiej Polski, skierowany głównie przeciwko dążeniu Niemiec do zmiany naszych granic zachodnich, stwierdzający wagę naszego dostępu do morza, którego jedyną winą było to, że nie dał się rozbić bojówce sanacyjnej i zwycięsko ją odparł i za... Obóz Wielkiej Polski!

Oto przyczyny, które wystarczają w niepodległej Polsce do tego, ażeby się znęcać nad bezbronnym człowiekiem.

A w czasie przetrzymywania p. Al. Dębskiego w więzieniu brzeskiem rozpętano ordynarny atak, rozpuszczano szereg kłamstw, obrażających uwięzionego, który nie mógł się przecie bronić. Napiętnowaliśmy wówczas w „Szczerbcu" kampanję prasową sanatorów z zawodowym oszczercą, Moraczewskim, na czele, ale zostaliśmy za to... skonfiskowani.

A teraz po strasznych przejściach, po ujadaniu prasy sanacyjnej okazuje się, że p. A. Dębskiego aresztowano i przetrzymywano w Brześciu przez szereg tygodni bez żadnych podstaw. Mogą zatem w Polsce chodzić bezkarnie i cieszyć się wolnością ludzie skazani przez sądy, po udowodnieniu przestępstw (a iluż takich powinno się jeszcze znaleźć i znajdzie przed sądem) a niewinnego człowieka, zajmującego dużą pozycję w społeczeństwie, znanego z nieposzlakowanego życia, byłego wysokiego urzędnika państwowego wywozi się w nocy i więzi w okropnych warunkach przez kilka tygodni, odcinając od rodziny. Sprawa Al. Dębskiego oświetla jaskrawo stosunki, panujące w dzisiejszej Polsce i pomimo umorzenia nie jest zakończona. „I dlatego, niezależnie od takiej czy innej decyzji sędziego śledczego — jak to trafnie pisała „Gazeta Warszawska" — w uczciwej opinji polskiej, w sumieniu polskiem sprawa brzeska w najszerszem i najpełniejszem jej ujęciu napewno nie zostanie umorzona. Będzie trwała. I prędzej czy później napewno będzie doprowadzona do końca."

Bat.

NA TEMAT PEWNEJ CZAPKI

Umieszczamy artykuł poniższy, pochodzący z kół naszych czytelników, jako dyskusyjny.

Zanim ukaże się w „Szczerbcu" umotywowana odpowiedź, już dziś oświadczamy, że słuszne w wielu punktach uwagi autor skierował — wskutek nieznajomości życia wewnętrznego polskich korporacyj, do czego się sam przyznaje — pod adresem *tylko* korporantów, chociaż wiadomo, że typ skrytykowany przez p. (k. l. k.), spotyka się, niestety, we wszystkich ugrupowaniach młodzieży.

Scharakteryzowany przez autora gatunek młodzieży zniewieściałej, zapatrzonej tylko w zewnętrzne formy, panoszy się w grupach bezideowych, a każdy, kto choćby pobieżnie zetknął się z życiem akademickiem, wie, że korporanci polscy, w znakomitej większości nietylko hołdują ideologji narodowej ale potrafią dla niej poświęcać się i ginąć.

REDAKCJA

Widziałem niedawno jednego młodzieńca bardzo eleganckiego: miał kolorową czapeczkę, wąsiki gładziutkie, wypielęgnowane, twarz białą jakby pudrowaną i oczy jakieś jakby szklane, nie widzące świata. Zrobiło mi się odrobinę (ale nie bardzo) niesamowicie. Skąd, dlaczego?

Aha, to ta kabaretowa metafizyka: „Ten mały gigolo, ten giękny gigolo"... Jaki smutek: Żywa kobieta tańczy z automatem. Krok w krok, krokiem foxtrotta za jej silną, gładką nogą, za nią, przed nią, suwa się *on; ona* zagląda mu w oczy niecierpliwie, obraca nim, bawi się nim — *on* jej odpowiada wytrwałem jak śmierć spojrzeniem swych oczu: martwiec w smokingu. Jakaż, mimowolna może ale głęboka satyra na coś co się dzieje tuż naokoło nas, we współczesnym świecie. *On* — jakiś słaby, zdziecinniały, niewolnikiem *jej* — ten „gigolo", ten „pikuś", *ona* — jak bezbrzeżnie samotna!...

I stąd myśl o *lalce*: Jaka nadludzko dumna, jak nieludzko samotna jest lalka, jak demonicznie obojętny jest człowiek-automat! A człowiek dzisiejszy pragnie upodobnić się do lalki. To jest głęboka, tajna pokusa formistyczna, to co się przebija poprzez owe, już nie bezczelne, bo jawne, programowe, malatury oblicza, które wraz z odpowiednią kurtyzacją włosów, stylizują, geometryzują twarze; a do twarzy należą *oczy*: oczy szklane, nieludzko dumne i obojętne, oczy martwców i martwic, oczy wielkich, jak żywy człowiek — lalek. „Lalkowatość" dzisiejsza przestaje być śmieszną. To jest jakiś dziwny, głęboki, chłodny cień, który chłodem swoim ostrzega, że czepiło się nas, może najśmiertelniejsze z kuszeń demona: pokusa, aby być *rzeczą*, nie *osobą*?... Och, odlalczyć, odformizować, natreścić świat!

Ale to są tylko takie moje refleksje, tutaj à propos wtrącone. Bo ten młody człowiek, od którego zacząłem tę pogawędkę, nie był jeszcze taki metafizyczny. Był tylko trochę antypatyczny z tą swoją lalkowatą, dumną miną. A ponieważ miał kolorową, okrągłą czapeczkę, więc posłużył mi za pretekst do wszczęcia niniejszej rozmowy. Czytelnik domyśla się, że był to jakiś korporant i, o ile sam jest korporantem, już czuje się obrażonym Ale proszę doczytać do końca. W każdym razie niechaj nie czuje się dotkniętym nikt, kto nie jest lalkowaty.

Odrazu przyznam, że nie znam życia wewnętrznego korporacyj. Za moich lat studenckich — a było to tuż przed wojną i z początkiem wojny — organizowaliśmy się według przynależności ideowej. Zaś, co do wewnętrznego wyglądu, to wzorcem dla prawdziwego „akademusa" był typ raczej fantazyjny, niż elegancki (o ile się ktoś nie wysztafirował na zabawę i t. p.). Wzorcem dla korporanta jest, zdaje mi się, elegant i to na codzień. Nie wiem, może to plotka, ale słyszałem, że korporantowi nie godzi się jechać III-cią klasą, nieść samemu pakunek i t. p. Przyznam się, że dla przedwojennego starego oświatowca, który tłukł się po wagonach ze skioptikonem i tobołami książek, sypiał gdzie się dało, na ławie i pod ławą — takie paniczykostwo byłoby czemś wstrętnem. Na filisterstwo, nietylko honorowe, jest zawsze w życiu czas — ileż, ileż czasu!...

I tu odrazu taki punkt niemiły w korporacji: te „filisterstwa". Wprawdzie, kiedy się dowiaduję, że najbardziej znany z byłych ministrów, b. min. Kumaniecki w Krakowie, został przez jakąś korporację mianowany „honorowym filistrem" — to mi się robi jakoś ciepło pod żebrem: Okazuje się, że u nas w Polsce nie zawsze tak: „...laur aż na posągu" — ale, bywa, *sprawiedliwa* sława nagrodzi już „w życia przeciągu"... Pozatem jednak, ja nie wiem, czy to jest takie bardzo młodzieńcze i sympatyczne, żeby tak odrazu z góry sobie postanowić: „Direction — Philisterei!..."

Jakkolwiek bądź, najprzykrzejsze jest to, że to wszystko okropnie szwabskie, żywcem odbite od boszów. To jest dobry kawałek niemczyzny w naszem życiu. Niemiec jest manjakiem na punkcie organizacji. Naprzykład, oglądałem podczas wojny zeszyty czasopisma „Schlaraffia", organu towarzystwa „Schlaraffia". Co to jest szlarafja? Szlarafja in abstracto to bajeczna kraina śpiochów, żarłoków, opojów, sybarytów, abderytów, honorowych filistrów i t. p. bezpartyjnych. Szlarafja in concreto to związek takich grubasów Niemczuchów, o takim właśnie lebensideale, rozmaitych tam hofratów, landratów i innych kancelaryjnych pułkowników. Ci „Schlaraffen", niemieckim obyczajem odrazu założyli sobie pismo perjodyczne, wypisywali tam swoje niemieckie napuszone izmy na temat „ideologji" szlarafów, umieszczali swoje fotografje z bombką piwa i w symbolicznych szlaf-

mycach na łbie. Co prawda, niektórzy z nich, ci młodsi, polegli für Kaiser und Vaterland i były ich nekrologi. I to mi przypomina, że te Niemiaszki, razem ze swemi szlarafjami, honorowemi filisterstwami i sakramentalną bombą piwa, niestety, niestety. niebardzo sfilistrzały! Te bestje, razem z tem wszystkiem, nawet razem ze swem zepsuciem, nietylko zagrażają światu swojem bestjalstwem, lecz i swoją pracą potężną, niezmordowaną. Więc są jakieś punkty odprężenia, życie nie musi być tak zawsze napięte patetycznie, ażeby było dzielnem...

To też i tu nie idzie o to, ażeby organizacje młodzieży miały tylko taki poważny, serjozny charakter; owszem, niech tam będzie coś wesołego, śmiesznego, nawet groteskowego; wprawdzie dla młodzieńca polskiego pierwszą i ostatnią rzeczą jest „dźwignąć, uszczęśliwić" i t. d. — a do tego trzeba tęgo pracować, pracować całą duszą i jeszcze raz pracować — ale można zarazem iść krokiem niekoturnowym — i dlatego nie szkodzi łączyć się w organizacje o charakterze zabawowym, jak u innych, wolnych i pewnych siebie narodów. Ale, cokolwiek tworzymy powinno mieć, nawet w zewnętrznym wyglądzie, nasze piętno samodzielne, polskie. Czyżby nam zabrakło wyobraźni?!

Nie wiem, może to powojenna szczególna potrzeba, że się wytworzyły organizacje tego typu co korporacje. Może to wyjaśni, ewentualna na ten temat, tu, dyskusja. W każdym razie, nie chciałbym, ażeby tą potrzebą była potrzeba niejakiej nobilitacji dla progenitury p. t. panów nuworyszów. Jeśli jest to potrzeba dania młodzieńcowi jakiejś ogłady, wykwintu, to jest to całkiem legitymne. Jeśli to jest ta potrzeba, ażeby dziś, w czasie grożącej proletaryzacji świata, wytworzyć w młodym człowieku pewne poczucie *godności stanu, godności inteligenta*, to jest to aż nader legitymne.

Ale tu zaczynają się sprawy bardzo poważne. Na co ma wyrosnąć akademik? Na *władcę*. Tak jest, na władcę, bo, *primo*, w ustroju współczesnym wszyscy jesteśmy powołani do suwerenności, *secundo*, my inteligencja musimy *owładnąć* wzbierającym i już ponad głowy nam przelewającym się chaosem. Rośniemy ku potędze — ku maximum rozumu, serca, woli, władzy — albo rośniemy ku unicestwieniu naszemu. Taki jest nasz los, taki jest los najbliższych pokoleń inteligenckich — a tembardziej tu, u nas, w tej Polsce, gdzie twardy jest chleb polskości. Każdy więc młody człowiek winien czuć, iż nosi w swej tece buławę marszałkowską, pułkownikowską — honny soit qui mal y pense! — albo zgoła rotmistrzowską. Na każdem stanowisku, każdy musi czuć w sobie odpowiedzialność za wszystko i wszystkich.

Ale — „o Polacy, gdybyście wiedzieli" i t. d. — jak to Słowacki mówi o wodzostwie narodu? To są wielkie i surowe sprawy, kształćcie w sobie duszę wodza, władcy. To też nie będę o tem mówił tak na poczekaniu.

Ale to jedno jest pewne: że młodzież, która ma się dopasować do takich ambicyj, w niczem, nawet w swoim wyglądzie zewnętrznym nie może tolerować u siebie snobizmu, lalkowatości.

I tu jest związek tych rzeczy wielkich z tą czapką. Bo to jest tak: Nietylko człowiek robi czapkę, ale i czapka robi człowieka. Czapka burszowska robi z naszego chłopca, nawet wbrew jego woli, Niemca sztywnego. Nasza postawa, nasz gest właściwy są całkiem inne: swoboda, prostota, zadzierżystość. Chcemy mieć znak naszej studenterji, junakierji, zamaszystości? Ale skrójmy do tego polską czapkę, np. jakąś niebywałą, fantazyjną, kolorową bajecznie rogatywkę, o jednym rogu spadającym aż gdzieś na łopatkę; z burszów lalkowatych porobią się za jednym zamachem żywi Polacy, jakieś boruty zapamiętałe. Uniwersytecki światek przybierze wygląd oryginalny, swojski, odrębny w oczach cudzoziemców nie jak dziś, jakiś taki szwaboidalny. Za tem niechybnie poszłoby przepolszczenie gruntowne obrzędu korporacyjnego i o to właściwie idzie w tych dywagacjach. Filistrów odeślijmy grzecznie Niemcom. Oni razem ze szlarafją i filisterstwem są w napięciu. Nam, dalibóg, nie potrzeba, kierunku na filisterstwo... Zresztą nie w naszej to dobrej tradycji, już od młodu, gotować się na emerytowanego ministra. W nowym typie bądź co bądź, jest coś romantycznego, jakieś tam „nad poziomy". Trzymajmy się tego. Bądźmy sobą — i w pozorach. Bo tylko we własnych butach choć łatanych i we własnej czapce, wbitej mocno nad uchem, można czuć się naprawdę śmiało.

(klk)

O MORALNOŚĆ I PRAWO W ŻYCIU GOSPODARCZEM

Słyszymy nieraz narzekania na wielki upadek poczucia prawa i moralności w sferach handlowych, przemysłowych i rolniczych. Mówi się i pisze ciągle o nadużyciach podatkowych, o bankructwach umyślnie przygotowanych dla skrzywdzenia wierzycieli i t. p. Dotychczas przypisywaliśmy te objawy właściwościom rasowym większej części naszych kupców.

Niestety jednak i w sferach czysto polskich trafiają się różne nadużycia, czy wypadki pomysłowego obchodzenia prawa.

Możnaby przytoczyć wiele faktów charakteryzujących upadek moralności w życiu gospodarczem. Niedawno stwierdzono naprzykład w prasie, że wielu ziemian biorących kredyt pod zastaw zboża dopuściło się sprzedaży zastawionego ziarna bez spłaty długu. — Pod względem moralnym czyn taki sam dobry, jak wykradzenie z lombardu zastawionego przez siebie przedmiotu.

Gdzież szukać przyczyny tych zatrważających objawów? Czyżby natura ludzka ulegała sama z siebie coraz większemu zepsuciu? Czy też może są jakieś przyczyny zewnętrzne, które pchają ludzi do nadużyć tak jak niedostatek popycha głodnego do kradzieży chleba?

Zdaje się, że właśnie jesteśmy w życiu gospodarczem świadkami podobnego stanu rzeczy. Przedsiębiorca, któryby dziś nic nie usiłował ukryć

ze swego stanu majątkowego, z dochodów, któryby z jaknajwiększą skrupulatnością przestrzegał wszystkich nakazów i zakazów tyczących się życia gospodarczego, musiałby niestety ulec „silniejszym" od siebie. Ci silniejsi to przedewszystkiem — żydzi, którzy w swych zasadach etycznych nie znajdują żadnego hamulca przeciwko, dajmy na to, nadużyciom podatkowym.

Przypatrzmy się trochę jak te rzeczy wyglądają w praktyce: wiadomo, jak wielkie są ciężary podatkowe płacone przez spółki akcyjne. By ich uniknąć główni akcjonarjusze obejmują fikcyjne posady, pobierając nadmierne wynagrodzenie. Jeżeli jeszcze w spółce jest zaangażowany obcy kapitał, niema nic prostszego, jak kryć wszelkie zyski, a nawet wykazać deficyt uzasadniający specjalne ulgi i pomoc rządu. Poprostu spółka pożycza z zagranicy kapitał oprocentowany jaknajwyżej, czasem jeszcze przeprowadza fikcyjne zakupy po cenach wygórowanych i zysku niema. Konkurent takiej spółki, który chce iść drogą uczciwą będzie zrujnowany, gdyż zapłaci nadmierne, większe niż jego uprzywilejowany współzawodnik podatki.

Dalszy przykład, znany dobrze warszawianom: sklepy wolno u nas trzymać otwarte tylko do godziny 19-ej. Bardzo to niewygodne zwłaszcza dla ludzi, którzy cały dzień pracują. Stworzono to ograniczenie dla ochrony pracowników handlowych, zapominając o tem, że przy zachowaniu 46 godzinnego tygodnia pracy można tak pracę rozłożyć by sklepy były dłużej otwarte. Zakaz jednak istnieje — więc się go obchodzi różnemi podstępami. A więc stawia się w sklepie stolik i nazywa się go „kawiarnią", albo poprostu wpuszcza się klientelę tylnem wejściem. Wszyscy o tem dobrze wiedzą, nie wyłączając władz, powołanych do przestrzegania odnośnych przepisów prawa.

By nie płacić nadmiernych podatków wielu kupców — żydów nie prowadzi ksiąg handlowych, a równocześnie stara się nadać swym biurom lub sklepom wygląd jaknajbardziej zaniedbany, ażeby władze podatkowe przekonały się o nędzy właściciela.

Sposobów obchodzenia prawa jest bardzo wiele. Źródło ich jest zawsze to samo: zbyt wielka ilość przepisów, które przy ścisłem zastosowaniu mogłyby łatwo zrujnować każdego kupca, przemysłowca czy rolnika. Wytworzyła się już u nas taka atmosfera, że władze żądają wiele, wiedząc z góry że otrzymają mniej. System ten niesłychanie demoralizuje całe życie gospodarcze. Ma jednak dla obozu obecnie rządzącego jedną dobrą stroną: daje pole do targów z organizacjami gospodarczemi i poszczególnemi przedsiębiorstwami. Przy tych targach kosztem przestrzegania prawa uzyskuje się poparcie polityczne sfer gospodarczych.

W. Z.

DUCH WOJSKOWY NARODU

Naród, który chce zwyciężać na wojnie powinien być owiany duchem wojskowym, a więc tym duchem musi być przepojone i jego wojsko.

To znaczy, że wszyscy obywatele z wewnętrznego popędu muszą być współpracownikami wojska, którego zadaniem jest zabezpieczać byt ojczyzny, a więc przygotować środki walki, a w groźnej chwili postawić cały naród w pogotowiu i kierować walką.

W armji owianej duchem wojskowym wszystkie jednostki są nawskroś przeniknięte poczuciem swego obowiązku i oddane mu do tego stopnia, że współpracują samorzutnie nie pod presją rozkazu, ale z własnej woli.

Ta samorzutna współpraca nie wyłącza bynajmniej potrzeby kierownictwa, ale przy obecności w narodzie i w wojsku ducha wojskowego ułatwia i twórczą czyni pracę dowódców.

Tylko naród, przepojony duchem wojskowym, jest zdolny do wojny zwycięskiej.

Duch wojskowy rozwija się w narodzie zapomocą odpowiedniego wychowania tak, jak i w wojsku, ale głównym krzewicielem tego ducha jest zawsze wojsko, mianowicie, jego korpus oficerski.

Naród całą swoją młodzież oddaje na pewien czas do szeregów, by tam ją przygotowano do działań i obowiązków wojskowych. Młodzież, wstępując do szeregów, posiada zaledwie kiełkujące ziarnka ducha wojskowego i rzeczą dowódców jest, by te ziarna zeszły i rozwinęły się w bujną roślinę.

Jeżeli korpus oficerski posiada prawdziwego ducha wojskowego, to i młodzież przechodząca przez szeregi przejmie się tym duchem i będzie go pielęgnowała po powrocie z wojska w swem życiu cywilnem, przekazując go młodszym pokoleniom. To ułatwi wojsku pracę nad rozwojem dalszym tego ducha.

Lecz biada, jeżeli w korpusie oficerskim zanikać zacznie duch wojskowy. Płynie stąd demoralizacja, a więc i zdolność do czynów nieszlachetnych. W tym wypadku młodzież, wlewająca się corocznie w szeregi, zatraci i te zarodki ducha wojskowego, które posiadała przed wstąpieniem do wojska, zrazi się i nabierze niechęci, a wreszcie cały naród przestanie kochać swą armję, przestanie z nią samorzutnie współpracować i utraci prędko ducha wojskowego, bez którego na wojnie zwyciężać nie można.

Krzewicielem ducha wojskowego jest, jak już wspomnieliśmy, głównie korpus oficerski. Dlatego wszystko, co ujemnie wpływać może na bitność i zwartość armji powinno być bezwzglednie z wojska usuwane.

Przyczyny, które wywołują upadek ducha wojskowego w korpusie oficerskim, mogą być natury materjalnej i moralnej. Najgorsze są jednak przyczyny ostatnie, które tutaj poruszę.

Łatwa wojna z przeciwnikiem małowartościowym może być przyczyną choroby armji, gdyż łatwe zwycięstwa, nie wymagajace wielkich zalet duchowych i umysłowych, pozwalają na wysunięcie się ludzi małowartościowych, którzy, zwykle przekonani o swej wielkości, są zarozumiali, nie chcą uznawać ludzi zdolnych, których się boją, odczuwając swą niższość, i czują wstręt do ludzi z poczuciem go-

dności osobistej. Dowódcy tacy odrzucają wszelką współpracę samorzutną, zabijają inicjatywę, poniżają duszę, a wymagają automatyzmu i uwielbienia ich przez swoich podwładnych. Rzecz jasna, że w tych warunkach rozpoczyna się zanik ducha wojskowego.

Również zgubnie może wpływać system awansów, dający możność robienia karjery nie przez zasługi i pracę, lecz zapomocą sprytu i pochlebstwa, bo dowódcy wysunięci przez ten system, są zwykle zdeprawowani swoją karjerą, którą zawdzięczają jedynie służalstwu, a wymagając tego samego od swych podwładnych tylko wtedy ich dodatnio oceniają.

Najszybciej jednak wywołuje upadek ducha wojskowego wtargnięcie polityki do szeregów wojska. Dowódcy, którzy awansowali dzięki protekcjom politycznym, oddając się jawnie panującej partji politycznej są zwykle ludźmi o charakterach moralnie ujemnych. Podwładnych swoich oceniają nie według ich zasług i zdolności, lecz według zapatrywań politycznych, o których muszą się dowiadywać drogą okrężną. Wywołuje to nieufność między oficerami, co powoduje zanik koleżeństwa, które jest, jak wiadomo, jednym z głównych składników ducha wojskowego, zabija poczucie obowiązku narodowego i obniża beznadziejnie ducha wojskowego całej armji.

Dowódcy zaczynają też rozdzielać młodzież, przechodzącą przez szeregi wojska, według jej zapatrywań politycznych i różnie ją traktują, starając się ją przerabiać na swoją modłę polityczną. Wywołuje to niechęć młodzieży do wojska, powoduje niezadowolenie całego społeczeństwa.

W rezultacie zanika i duch wojskowy całego narodu, który przestaje widzieć w armji obrońcę wszystkich, a tylko podporę pewnej partji politycznej.

W razie wojny taki stan pociągnie groźne skutki dla państwa.

Oficer, jako główne źródło ducha wojskowego całego narodu, jest obowiązany moralnie nie oddawać się na usługi żadnej partji politycznej, żadnej partji klasowej. By wojsko, w razie wojny, było mocne i silne duchem jest konieczne, by wszyscy obywatele mogli w niem służyć bez cienia nieufności do swych dowódców, bo tylko wtedy władza oficera będzie chętnie uznana i tylko wtedy oficer będzie miał zaufanie do swoich żołnierzy i tylko wtedy będzie mógł wywierać dobroczynny wpływ na nich i na stan ich ducha wojskowego.

Dzierżykraj-Stokalski

gen. w st. sp

ZA ZACHODNIĄ ŚCIANĄ

Prawie równocześnie ze spuszczeniem na morze niemieckiego olbrzyma „Deutschland", tygodnik „Die Woche" przynosi numer, prawie cały zapełniony wynurzeniami na temat dawnych kolonij, utraconych przez Rzeszę na mocy traktatu wersalskiego. Mija bowiem 250 lat od chwili założenia niemieckich kolonij przez wielkiego elektora brandenburskiego Fryderyka Wilhelma.

Zdawałoby się — dziwny zbieg okoliczności. A tymczasem jest tu planowa i przemyślana robota, która pod płaszczykiem różnego rodzaju „wzmianek historycznych" chce przemycić swe poglądy. Niewinna dwóchsetna pięćdziesiąta rocznica jest tylko okazją do wystąpienia, jednym z wielu wskaźników odradzania się germańskiej hydry.

Rzeczą śmieszną byłoby wierzyć w dobrą wolę i obietnice niemieckie. Mimo podpisania przez Niemcy głośnego swego czasu paktu Kelloga (który nawiasem mówiąc, pokryto zapomnieniem), Niemcy zbroją się, budują cały alfabet pancerników. Postanowienia traktatu wersalskiego, regulujące teoretycznie możliwości zbrojenia się przez poszczególne państwa, są martwą literą dla niemieckich inżynierów, którzy, trzymając się zasadniczo postulatów traktatu, konstruują wojenne przyrządy w ramach zakreślonych wzorów, ale zdolność bojowa tych przyrządów jest podwójnie większa.

Lat kilkadziesiąt temu powstawała dopiero flota Niemiec, a mimo to w czasie wojny była drugą potęgą na morzu, właśnie dzięki wydoskonalonej technice.

Równolegle z praktycznem zabezpieczeniem się na wypadek wojny, prowadzą Niemcy systematyczną propagandę rewizjonistyczną, starają się urobić odpowiednio opinję świata.

Obecne usiłowania zmiany obowiązującego status quo są przeprowadzane środkami niby dozwolonemi. Znane są przecież narzekania na niesprawiedliwość odnośnie do granicy śląskiej. W głowach polityków niemieckich powstał jakiś „korytarz pomorski", odgraniczający od „macierzy" całe połacie „rdzennie niemieckiego" kraju. Pewnie Warmję i Mazury...

A i Wolne Miasto jest im solą w oku, o czem świadczą bezczelne na tem terytorjum poczynania (znieważenie Orła polskiego, sprawa Jeżyka).

Wracając do wymienionej na początku „Die Woche" należy zanotować jeszcze jedną „bolączkę" polityki niemieckiej, którą to pismo wysuwa. Jest to sprawa kolonij.

Szumne tytuły artykułów: „Niemcy muszą być i będą znowu potęgą kolonjalną" lub „Niemieckie kolonje muszą być z powrotem oddane" straszą olbrzymiemi wykrzyknikami.

Co więcej! P. Willam Harburt Dawson uderza w struny prawa(!) powołując się na prawo zwyczajowe i formalne(?), na mocy których kolonje, które Niemcy posiadały między r. 1884 — 1890 są i obecnie ich własnością.

Potomek morderców Belgów, przywdziewając togę Katona, zasłania się prawem.

A historyczne dane artykułu wstepnego usiłują chyba dowieść owego dawsonowskiego „prawa zwyczajowego". Dowiadujemy się, jak to w 1680 r.

elektor brandenburski wyrusza w pełną przygód podróż do Afryki; jak go napada flota holenderska, której kierownictwo przejrzało plany elektora. Jakoś szczęśliwie umykają okręty w kierunku brzegów afrykańskich, gdzie przy brzegach Gwinei zostaje zawarty układ z naczelnikiem zachodnio-afrykańskich plemion nigerskich, mocą którego brandenburczycy zyskują wyłączne prawo handlowania w tym okręgu. Praca postępuje szybko. Już w styczniu 1683 r. wybudowano fort przy przylądku Trzech Szczytów — Grossfridrichsburg. Kolonje dalej rozwijają się. Aż przychodzi okres panowania Fryderyka III, od którego rozpoczyna się upadek kolonij. Wyraźnie zaznacza Fryderyk III, że „niechce ani jednego talara łożyć więcej“ na kolonje, a w rezultacie sprzedaje je w grudniu 1717 r. zachodnio-indyjskiej kompanji za 6000 dukatów. Oto prawne podłoże własności kolonij niemieckich.

Pomijając nonsens tkwiący w domaganiu się ze strony Niemiec zwrotu kolonij, należy zastanowić się, dlaczego akcja rewizji odnośnych umów międzynarodowych jest prowadzona zdecydowanie i wyraźnie. Gdzie są przyczyny, dla których występuje się wbrew opinji całego świata?

Rzecz bardzo prosta.

Niemcy przy swem terytorjum z nadmiarem ludności, wydają olbrzymie sumy na import towarów kolonjalnych, co przy obecnym ogólnoświatowym kryzysie, fatalnie odbija się na gospodarce wewnętrznej. Dla przykładu podam kilka cyfr porównawczych z okresu 1924 — 26 r.

Polska konsumuje ryżu na głowę 1,56 kg. Niemcy 4,08 kg.

Kakao — Polska 0,15 kg. Niemcy 1,21 kg.

Bawełna — Polska 1,73 kg. Niemcy — 4,91 kg.

A weźmy pod uwagę, że obecne zapotrzebowanie w tym kierunku wzrosło, oraz, że wszystko to trzeba sprowadzić z obcego terytorjum, płacić towar, przewóz, cło. Całkiem naturalne, że przy coraz większej konsumpcji pozycja importu towarów kolonjalnych zajmuje poważne miejsce obciążając budżet. Trzeba temu zaradzić. Ale jak! Ot robić krzyk o dawne „nasze“ kolonje, odwołać się do sprawiedliwości, prawa i t. d.

Jest rzeczą całkiem zrozumiałą, że państwa, posiadające obecnie mandaty nad terytorjami poniemieckiemi, same tych mandatów nie zrzekną się. Rozumieją to i Niemcy. To też wysuwają w swej polityce rewizjonistycznej dwa stanowiska: oddajcie nam, coście zabrali lub tytułem rekompensaty przydzielcie nam inne tereny.

Jest to oczywiście nie do pomyślenia.

Nie należy jednak roszczeń niemieckich lekceważyć. Dzisiaj nie są one przedmiotem dyskusji. Ale gdy pancerniki B. C. i D. uciekną na fale morza przed wzniosłymi hymnami kanclerza Brüninga na temat „pokojowości” i gwarancyj pokojowych Niemiec, to wówczas wykrzyknikiem do bojowego tytułu artykułu będzie siny dym pancernika, a paszcze armat będą kropkami.

A cóż my robimy? W każdym razie bardzo mało! Rzeczą bardzo charakterystyczną dla naszej akcji jest uparte trzymanie się zakreślonych ram. Może to i dobrze, że nie jesteśmy zaborczo nastawieni. Obawiam się jednak, by ten zbytni konserwatyzm nie przeszedł w chorobliwy objaw niemocy. Nie umiemy się zdobyć na aktywizm.

Dopiero niedawno na szerszą skalę rozwinął akcję „Związek Pionierów Kolonjalnych“, idący w kierunku osiągnięcia części kolonij poniemieckich. Akcja ta godzi w politykę niemiecką, dając do zrozumienia, że nawet na wypadek rewizji postanowień międzynarodowych odnośnie do b. kolonij niemieckich, prócz byłych posiadaczy i obecnych dzierżycieli znajdą się i inni, którzy będą mieli coś do powiedzenia, którzy historycznemu faktowi posiadania przez Niemcy kolonij i „prawu wojennemu” przeciwstawią też fakt historyczny — zabory, w czasie których ziemie polskie przez długi czas ponosiły koszty utrzymania kolonij niemieckich. Słuszną jest tedy rzeczą domagać się części ziem, na które robiono nakłady.

J. Białosiewicz

WYDAWNICTWA NADESŁANE

Kazimierz Wybranowski. W połowie drogi. Powieść współczesna. Str. 308. Skład główny; Gebethner i Wolff. Warszawa. R. 1931. Cena 9 zł.

Marjan Czuchnowski. Kobiety i konie. (Listy do Jana Artura Rimbaud'a). Numer 14 „Bibljoteki Studwudziestu“. Str. 24. Poznań R. 1931.

J. U. Niemcewicz. Lejbe i Sióra czyli listy dwóch kochanków. Romans. Wydał Franciszek Bielak. Str. 192. Towarzystwo Miłośników książki. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Kraków. R. 1931.

Tęcza. Ilustrowane pismo tygodniowe.. Rok V. Zeszyt 25 z dn. 20 czerwca 1931 r. Adres red. i adm: Poznań. Aleja Marcinkowskiego 22. Konto P. K. O. Nr. 209158. Prenumerata wynosi rocznie 50 zł., kwartalnie 14 zł. Cena numeru pojedyńczego 1,40 zł.

Rozwój. Czasopismo poświęcone unarodowieniu życia polskiego, wychodzi 10, 20 i 30 każdego miesiąca pod kierownictwem Ludwika Czerniewskiego. Rok XIV. Nr. 18 z dn. 20 czerwca 1931 r. Adres red. i adm.: Warszawa, ul Żórawia 2. Konto P. K. O. Nr. 2245. Prenumerata wynosi rocznie zł. 12, kwartalnie zł. 3, cena numeru pojedyńczego 35 gr.

Dziś potrzeba prawicy, a jutro trzeba praw.

OD REDAKCJI

Z powodu feryj letnich w lipcu b. r. ukaże się zamiast dwóch, tylko jeden zeszyt „Szczerbca“ w podwójnej ojbętości.

KOMUNIKAT

Społeczne Biuro Pośrednictwa Pracy Warszawa, Wilcza 1. Tel. 883.13.

Za łaskawe zgłoszenie do biura posad dziękuje i, polecając się nadal łaskawym względom pp. Pracodawców komunikuje, że ma obecnie do umieszczenia pracowników; Inżyniera hydrotechnika, techników metalowych i budowlanych, kreślarzy i rysowników, administratorów, buchalterów biuralistów-ki, maszynistki, handlowców, rzemieślników różnych specjalności, cukierników i cukierniczki, ekspedjentki, kelnerów, woźnych, gońców, służbę domową i t. p.

Dzwonić od 9-19^{30} prócz niedziel i świąt.

Już czas wpłacać prenumeratę za kwartał III-ci.

CENY OGŁOSZEŃ:

Pierwsza i ostatnia strona:

1/1 strony	zł. 300.—
1/8 „	„ 40.—
W tekście	
1/1 strony	zł. 200.—
1/8 „	„ 30.—

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Lwowska 15 m. 3.
Tel. 85.6-71 Konto P. K. O. — 13.975.
Redakcja czynna: wtorki, czwartki godz. 18^{30}-19^{30}. Administracja czynna: codzień w godz. 11 — 1 i we wtorki, czwartki, piątki od godz. 19-ej do 21

PRENUMERATA:

Rocznie	zł. 8
Półrocznie	„ 4
Kwartalnie	„ 2
Numer pojedynczy	gr. 40

Dwutygodnik „Szczerbiec“ jest do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu“ w Warszawie i na stacjach kolejowych oraz u sprzedawców ulicznych

Wydawca: Wydawnictwo „Szczerbiec“ Sp. z ogr. odp. Redaktor odp.: St. Zieliński

Druk. T-wa Polskiej Macierzy Szkolnej, Elektoralna 18 Tel. 292-94.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem